



**RA-DIO**

wymyślił napisał narysował  
zaprojektował przygotował

R A D O S Ł A W  
N O W A K O W S K I



[WWW.LIBERATORIUM.COM](http://WWW.LIBERATORIUM.COM)

© *Radosław Nowakowski* 2020

Radio jest jak świat. Świat się zmienia, więc radio też. Tak myślał każdego dnia rano, kiedy włączał odbiornik. Zaś żeby poddać gimnastyce i rozruszać jeszcze rozespiane szare komórki, odwracał stwierdzenie i szeptał w głowie: świat jest jak radio, świat jest jak radio... radio się zmienia, więc świat też... Niekiedy, i tak chyba było tego dnia, rezygnował z porównania, odrzucał banalną metaforykę i stawiał znak równości: radio jest światem... radio jest światem... I nie chodziło tu wcale o jego radio. Nie. Nie był przecież maniakiem radia, nie słuchał go bez przerwy, nie musiał tego robić, nie był od radia uzależniony. Chodziło o radio w ogóle. Po prostu o radio. Potem to równanie odwracał: świat jest radiem... świat jest radiem... i zapytywał swój ledwie rozbudzony umysł czy to jest równoważne. Przecież jeśli  $a = b$ , to  $b = a$ . Jeśli  $a = b$ , a  $b = c$ , to  $a = c$ . A jeśli  $a = c$ ? Gdyby tak użyć do tego równania dźwięków... czyli: jeśli  $c$  podwyższone o półtonu daje  $cis$ , zaś  $d$  obniżone o pół tonu daje  $des$ , to  $cis = des$ . Tak jest w stroju temperowanym, lecz strój temperowany, polega na zastruganiu świata, na wygładzeniu chropowatości i usunięciu zadziórów – wiadomo przecież,  $cis \neq des$  i że między dwoma białymi klawiszami powinny być dwa czarne, a wtedy każda dłoń powinna mieć przynajmniej osiem palców, nawet więcej – im więcej, tym lepiej...

Nieco rozbudzony już umysł mógł podjąć się następnego wyzwania i udowodnić, że jednak radio jest światem. Oto bowiem wystarczy wstawić w stosownym miejscu małą kreseczkę, łącznik będący rozdzielnikiem, by RADIO okazało się starożytnym bogiem-słońcem. RA-DIO. **Dio Ra.** Oczywiście Dio należy z długim  $j$  w środku: dijo. Bóg-słońce jak się patrzy. A czyż Ra nie był światem? Był. Jeśli nie całym, to jakąś jego częścią. Kto wie czy nie najważniejszą. Przypatrzmy się światu. ŚW-IAT. ŚWI-AT. Nic. Zaledwie jakaś onomatopeja świstów. Lecz cóż tam świsty. Świsty to nie radio, choć jakąś drobniutką jego częścią są. Zatem radio jest światem, podczas gdy świat radiem nie jest. Teraz więc nie pozostaje nic innego jak w porywający sposób udowodnić, że radio zostało wynalezione w starożytnym Egipcie, w czym niechybnie pomagali przybysze z odległych galaktyk... Ach! Zadanie równie trudne, a może nawet nieco łatwiejsze, niż narysowanie z pamięci, oczywiście bez przyrządów, trzech identycznych sześciątów, każdy w innym

ustawieniu, inaczej przekręcony, wiszących jeden pod drugim i szepionych wierzchołkami, jakby nanizanych na nitkę.

Skąd takie myśli? Resztki snu? Wstał z ciężką głową. Jakby ściśniętą obręczą, jeszcze nie mocno, ale już zauważalnie. Lekkie pulsowanie. Zarys bólu. Stąd to kłębianie się sennych obrazów, przedmigrenowy wir, z którego jakże trudno się wyrwać. Budził się i zasypiał i znowu się budził. Już podnosił głowę, a ta leciała na poduszkę, wystawiał rękę spod kołdry, a ta opadała na nią i wsuwała się w jej fałdy jakby obdarzona własną wolą, z jego chceniem nic niemająca wspólnego. Pewnie jutro będzie burza.

Dlaczego pomyślał o trzech sześcianach? Dlaczego mu się przypomniały? Wiele razy próbował je narysować. Och, nie tak znowu wiele. Czy kilkanaście razy to wiele? Albo nawet kilkadziesiąt? Na pewno nie kilkadziesiąt. Nigdy nie zrobił tego dobrze. Nigdy też nie uważał, że rozwiązanie tego zadania uczyni z niego wspaniałego rysownika. Tym bardziej przenikliwego myśliciela. Raczej należało uznać je za pewną ciekawostkę, która mogłaby stać się obsesją, gdyby była rodzajem zaklęcia otwierającego sezam wiedzy; tak jednak nie było, zaś wrodzona skłonność do racjonalizmu i niechęć do mistycyzmu (trzeba to zaznaczyć, nietrudno bowiem wyobrazić sobie racjonalnego mistyka) spowodowały, że dosyć szybko go to ćwiczenie znużyło. Podobno nikt nigdy nie narysował tych trzech sześcianów dobrze. Tak przynajmniej twierdził jego nauczyciel. Nikt z jego uczniów. Nic nie wiadomo o innych, którzy nie byli jego uczniami. Nigdzie też nie znalazł żadnej wzmianki o kimś, kto podjął się takiego wyzwania i uczynił z tego swoją drogę do oświecenia. Kiedyś nawet dosyć często opowiadał o tym zadaniu. Potem przestał. Chyba nawet zupełnie o nim zapomniał. A teraz mu się przypomniało. Dlaczego? Czyżby wirujące w głowie sny coś wyszarpały z zakurzonych otchłani pamięci? Niech i tak będzie... Dlaczego trzy? Kiedyś się zastanawiał i nie znalazł innego wytłumaczenia poza tym, że tyle wystarczyło, by zamęczyć rysującego. Nie trudno wyobrazić sobie rysowanie czterech, pięciu, nawet całych girland jednakowych sześcianów, lecz trzy zapewniały wystarczający poziom trudności. Po cóż mnożyć poziomy trudności bez potrzeby? Może teraz powinien wrócić do tych rozważań uwzględniając perspektywę antropologiczną, polityczną, teologiczną, technologiczną, magiczną, numerologiczną i wiele

innych. Lecz po co? Chyba że to pomoże przegonić narastający ból głowy. Wiadomo jednak, że nie pomoże.

Włączył radio. Znajomy głos. Znajoma audycja. Znajomy program. Ciągłe ten sam od tylu lat. Kiedyś słuchał tej stacji na zupełnie innym odbiorniku. W zupełnie innym domu. Tej samej stacji, ale innej audycji. Raczej nigdy o tej porze. Wtedy wieczorem – teraz rano. Świat się zmienił. Radio się zmieniło. Odbiornik się zmienił. Ten kupił jakiś czas temu, ale dopiero teraz, w tym właśnie dniu, o tej właśnie porze, wcale nie tak wczesnej, skojarzył go z zadaniem z lekcji rysunku. To radio składało się z trzech sześcianów. Takich samych. Czarnych. Błyszczących. Jakby wyciętych z fortepianu. Kostki dosyć duże, lecz nie na tyle, by nie mógł podnieść każdej jedną ręką. Dwa głośniki i tuner. Tjuner – czyli co? Tjjjuuuuuner. Nic nie świstało. Coś się świeciło. Niebieskie cyferki. Niebieskie ikonki. Niebieskie punkciki. Niebieskie. Nie zielone. Ten odbiornik nie miał zielonego magicznego oka. Nie mrugał. To dobrze. To już nie te czasy. Nie trzeba porozumiewawczo mrugać. Miał gdzieś na strychu stare, bardzo stare radio z zielonym magicznym okiem. Na tym radiu ciotka słuchała w każdą niedzielę o tej samej porze niekończącą się powieść w odcinkach. Powieść-słuchowisko. Siadała tuż przed radiem, nachylała głowę, żeby nie uronić ani jednego słowa wydobywającego się z głośnika ukrytego za beżowym materiałem zdobionym abstrakcyjnymi wytłoczeniami, a może supełkami, gruzełkami upodobniającymi go do kawałka kory z drzewa zamorskiego gatunku. Gdyby chciał, mógłby je ożywić, chociaż wiedział, że całkiem martwe nie było – jeśli ktoś gdzieś nadawał jeszcze jakiś program na falach długich, średnich lub krótkich stare radio przemówiłoby w mniej lub bardziej nieznanym języku. Wystarczyło je wybebeszyć i do drewnianej obudowy delikatnie polyskującej starą politurą wstawić nowe serce. Po co? Może nawet ktoś zręczny ponadprzeciętnie sprawiłby, że kręcąc starą ebonitową gałką i przesuwając wskaźnik za potłuczoną szybką z nadrukowanymi nazwami miast, wtedy rozpalającymi wyobraźnię i uznawanych za egzotyczne, teraz także nieobojętnych choć nieco spowszedniałych, dałoby się wyszukiwać stacje. Po co? Przecież te stacje nie odpowiadałyby nazwom na szybko. Świat się zmienił, radio się zmieniło, po co udawać, że ciągle jest tak samo? Dlatego, kiedy wreszcie zdecydował się kupić nowy odbiornik, bowiem poprzedni potracony

przez nieuwagę spadł ze stołu, roztrzaskał się niczym srebrzyste jajo plastikowego strusia i zaniemówił, wybrał wzornictwo minimalistyczne, przedmiot zupełnie do radia niepodobny: trzy kostki w kolorze fortepianowej czerni. Stały na półce w kuchni od kilkunastu miesięcy i dopiero teraz zauważył, że mogłyby być tymi trzema zakłętymi sześcianami. Mógłby spróbować zdjąć je z półki i podwiesić do sufitu, albo do lampy. Miałby wtedy szansę rozwiązać zadanie. Były przecież połączone cienkimi kabelkami, które dałoby się uznać za ową nitkę przeciągniętą przez narożniki sześcianów, gdyby nie fakt, że wychodziły z tylnej ściany odbiornika, zaś gniazda dla wtyczek też znajdowały się z tyłu głośników, a poza tym kabelki były za długie, co powodowałoby nieustanne obracanie się sześcianów, uniemożliwiając uchwycenie właściwych proporcji, skrótów perspektywicznych i rozkładu cieni. Cóż, kable powinny być długie. Przecież chodziło o jaką taką stereofonię. Tu przypomniała mu się audycja z dawnych lat zaczynająca się od sprawdzania kanałów: szszszszszszszs prawy kanał – zzzzzzzrzzrzzrzzrzz lewy kanał... Westchnął sentymentalnie. Już nie nadają szumów prawo i lewokanałowych. Świat się zmienił. Radio się zmieniło. Taka niepozorna kostka, a tyle w niej głosów, tyle muzyk najróżniejszych i żadnych pokręteł... Ale kabelki, choć długie i uwielbiające się plątać, mogłyby być dłuższe. Tak. Zdecydowanie. Łatwiej byłoby manewrować głośnikami. Popatrzył na półkę i odniósł wrażenie, jakby odległość między głośnikami zmniejszyła się. Nie potrafił przypomnieć sobie, czy poprzedniego dnia je przestawiał. Wszystko przez tę ciężką głowę. Nie zwrócił też uwagi na to, że głos, tak przecież dobrze znany, brzmiał nieco inaczej, jakby nieco chrypiał, był ciut bardziej skrzekliwy, drażniący. Wszystko zdawało się drażnić tego dnia. Obręcz migreny zaciskała się na głowie. Głowa zaczęła wołać o pomoc.

Następnego dnia był wtorek. Obudził się rześki, z głową jasną, z umysłem czystym. Jak to po migrenie. Wszedł do kuchni, by włączyć radio i nie miał już najmniejszych wątpliwości, że głośniki stoją za blisko siebie. Stały nawet bardzo blisko siebie. Nie zastanawiał się dlaczego tak jest, skąd ta zmiana. Zdecydowanym ruchem chwycił czarną kostkę, by przestawić ją ze środka półki na jej koniec i omal nie zwałił całego radia na podłogę. Nie spodziewał się, że kable będą takie krótkie.

Tak. Kable były krótkie. Dwa dni temu były długie, a teraz były krótkie. Nie skracał ich. Raczej by je wydłużył. Gdyby to był dalszy ciąg migreny i głowę ścisnęła pulsująca obręcz, pomyślałby, że to z zemsty lub na znak protestu przeciwko rozpoczęciu przez niego wielkiego traktatu o plątaniu się kabli, który miał odmienić losy świata obnażając jego chorobliwe skłonności do motania i supłania, ujawniając wszelkie niecne i zacne metody stosowane, by nic nie było proste i jasne. Nigdy jednak nie miał migreny dwudniowej – jeśli zaczynała się rano, to kończyła się tego samego dnia po południu, ból odpuszczał, głowa stawała się lekka jak balon i musiał uważać, by nie uniosła go w powietrze, ponad dach, ponad czubki bujnych drzew, aby nie w chmury... Nie włączył radia. Śniadanie zjadł w ciszy, w delikatnym szumie i ciągle jeszcze subtelnym dzwonieniu w uszach zastępujących szelest drzew i kłaskanie ptaków za zamkniętym oknem.

W środę kable zniknęły, a głośniki szczepiły się z odbiornikiem. A przecież kable powinny być. Głośniki muszą jakoś być połączone z odbiornikiem, żeby otrzymywać z niego sygnał i móc gadać i grać. Ale nie były. Zaglądnął za radio i zobaczył jedynie kabel sieciowy wychodzący z odbiornika. Świat się zmienia, radio też. Kable zamieniono na technologię niebieskiego zęba. Właściwie sinego. Siny ząb. To brzmi zdecydowanie lepiej, niż niebieski. Nawiązuje do poetyki indiańsko-pirackiej. Zamieniono – czyli kto zamienił? Radio? Tak samo z siebie? Pod osłoną nocy? Żeby nikt nie widział. Wypięto kable i zastąpiło je modułem sinozębowym. Interesujące. Nie pamiętał, żeby w specyfikacji urządzenia podanej w instrukcji obsługi znajdowała się chociaż najdrobniejsza wzmianka wydrukowana najmniejszą możliwą czcionką i sugerująca, że po iluś tam godzinach grania radio samo zdecyduje czy przejść z połączenia kablowego na bezkablówce. Taki moment właśnie nadszedł i zdecydowało. Niech mu będzie. Szanował radio jako byt odrębny i niezależny, a zatem posiadający prawo do samostanowienia, do grymasów, fochów faz i much w nosie, nawet jeśli nie miało nosa – much i innych bytów latających było już całkiem sporo, jak to na wsi na początku lata. Mimo całego uznania postanowił rozstawić głośniki. Niech się komunikują z odbiornikiem za pośrednictwem jakichkolwiek fal, nawet sinych, ale nie powinny stać obok siebie, nawet jeśli miałyby

przedzielać je kostka tunera. Nie po to kupował właśnie taki model, żeby on teraz udawał radio przenośne, a jeśli by chciał udawać, to powinien sprawić, żeby przez noc wyrosła mu zgrabna rączka. Rączka nie wyrosła. Chwycił więc jeden głośnik lewą ręką, drugi prawą... Chwycił i na tym się skończyło. Głośniki były przytwierdzone na stałe. Przytwierdziły się. Przyrosły. Przykleiły. Radio nie było już trzema zgrabnymi czarnymi kostkami do gry, monstrualnie powiększonymi i pozbawionymi kropek (świecące cyjanowym światłem cyferki, literki i inne symbole bynajmniej nie udawały kropek). Teraz, gdyby ktoś uparł się kontynuować metaforę gry, radio dałoby się porównać do spotworniałej kostki domina, a jeśli nie spotworniałej to raczej otyłej niż napakowanej, nie utraciłszy wszakże nic ze swojej uroczej kanciastości. Niewidziane! – pomyślał i włączył radio.

Głos, który wydobywał się z głośników był niby taki sam jak zwykle o tej porze, a jednak inny. Nie był żadnym z tych głosów, do których się przyzwyczaił. Był do nich podobny. Był jakby ich wypadkową. Jakby je wszystkie zmieszano, z każdego wzięto najbardziej charakterystyczne cechy i stworzono z nich jeden. Głos uniwersalny. Czy tak? Czy jednak to tylko takie wrażenie spowodowane niezwykłą metamorfozą urządzenia. Charakterystyka akustyczna głośników była teraz niewątpliwie inna. Zastanawiało jednak i to, że głos się nie zmieniał. Ciągłe był ten sam. Żadnych innych głosów. Ciągłe tylko ten jeden gadał i gadał. Jak najęty. Tak mówią. Jak najęty. Pewnie dlatego tak chrypiał. To nie było brzęczenie obudowy albo jakiegoś przedmiotu stojącego obok i wpadającego w rezonans. Sprawdził to. Najwyraźniej głos mówił od dłuższego czasu, może nawet całą noc. Dlatego zachrypnął. Co będzie dalej? Co będzie pod koniec dnia? Strach pomyśleć. Więc przestraszył się i wyłączył radio.

Włączył je wieczorem. Tylko po to, żeby sprawdzić. Nie chciał niczego słuchać. Dalej gadał ten sam uniwersalny głos. Był nawet jakby trochę bardziej zachrypnięty, co nie powinno dziwić, a jednak go zdziwiło. Przecież powinien zamilknąć. Po tylu godzinach. Po ilu? Nie wiedział, bo nie liczył, nie miał też pewności, czy wtedy, kiedy nie słuchał radia nie pojawił się w nim inny głos. Intuicja i intelekt zgodnie podpowiadały mu, że żadnego zastępstwa nie było. Postanowił zmienić stację. Nacisnął jeden z zaprogramowanych przycisków wtopionych w idealnie gładką

obudowę, ale głos nie zmienił się. Nic się nie zmieniło. Cyferki, literki, ikonki pozostały te same. Mógł sobie przyciskać co chciał i ile razy chciał, do woli, nawet do przesyty, a z głośników dalej dobywał się ten sam głos. Doprawdy, niesłychane! – pomyślał. – Niesłychane – powiedział na głos i poszedł spać.

We czwartek radio zmieniło miejsce i proporcje. Wielkość chyba też, ale nie było to łatwe do ustalenia. Nie stało już na półce. Uniosło się nad nią i przyczepiło do ściany. Przykleiło lub przyssało. Na pewno nie wbiło w nią gwoźdź, ani żadnego haczyka. Mimo wysiłków, fizycznego i intelektualnego, nie potrafił odpowiedzieć na pytanie jak to się dzieje, że trzyma się ściany, że od niej nie odpada. A przede wszystkim, że nie da się go od niej oderwać. Prawdą jest, że nie zastosował żadnych drastycznych metod. Nie przyniósł łomu. Nie użył nawet młotka i dłuta. Nawet nie próbował podważyć urządzenia nożem. Próbował jedynie zrobić to rękami. Perswazji słownej nie używał, wiedział bowiem, że radio pozostanie głuche na wszelkie prośby i groźby. Telepatia też nie wchodziła w grę, ponieważ jego zdolności mediumiczne oscylowały w okolicach zera, więc nawet gdyby radio dysponowało mocą mediumiczną zbliżoną do stu procent, to i tak nic by z tego kontaktu nie wyszło. Niewątpliwie radio zastosowało jakieś najnowsze technologie, o których nie miał niebieskiego pojęcia. Wyraźnie też zmieniły się proporcje. Już nie przypominało kostki domina. Stało się węższe i wyższe. Nieomal kwadratowe. Znaczenie zgrubiło. Szczególnie na dole. W związku z tym przestało być prostopadłością. Kiedy przyłożył policzek do ściany i popatrzył na nie z boku, zobaczył trapez. No i ten kolor. Właśnie. Już nie było takie czarne. Już nie błyszczało jak fortepian. Już znacznie poszarzało. Zmatowiało. Powierzchnia nieco się pomarszczyła, stała się chropawa, jakby dostała wysypki. Nie dotknął jej, żeby sprawdzić. Bał się. Czy to nie zaraźliwe? Odra jakaś czy nawet ospa? Szara ospa. Sina ospa.

A skoro nie dotknął radia, to radio milczało. Niech milczy. Nie interesowało go co miało do powiedzenia. Co innego zaprzętało jego uwagę i nie dawało mu spokoju. Ani na moment nie opuszczało go wrażenie, że radio cały czas przesuwa się i przekształca. Lecz było to



tylko wrażenie. A wrażenia są tylko wrażeniami, niczym więcej. Zatem rozsiadł się wygodnie na krześle i rozpoczął obserwację. I nic nie zaobserwował. Czas płynął i nic się nie działo. Nie mógł jednak siedzieć tak bez przerwy. Przerwał więc na chwilę obserwację i wyszedł. Wrócił i dałby sobie obciąć głowę, że radio przesunęło się. Sprytnie. Zacierając po sobie wszelkie ślady, więc zaznaczanie ołówkiem jego pozycji nie miałyby najmniejszego sensu. Zmierzało w stronę drzwi. Pomyślał, że powinien zainstalować kamerkę i mieć całodobowy podgląd, ze wszystkimi danymi zapisywanymi na dysku. To też nie miałyby sensu. Nie ufał kamerce, ani komputerowi. Na pewno były w zмовie z radiem. Tak. To nie ulega wątpliwości. Taka solidarność rzeczy. To stwierdziwszy udał się na zasłużony spoczynek. Ciało miał rozklekotane, a umysł skołatany.

W piątek musiał wyjechać wcześniej rano. Inne sprawy na tyle go zajęły, że nawet nie spojrzął na radio. Zapomniał o nim. Nie samym radiem przecież człowiek żyje. Nawet jeśli jest ono światem. Wychodząc z domu zauważył kątem oka, że znajdowało się już nad drzwiami. Jeśli to było ono. Lecz cóż innego mogłoby to być? Nie przypominał sobie, by coś wieształ nad drzwiami.

Wrócił w niedzielę przed południem. Podchodząc do domu już słyszał, że radio gra. Nie zdumiało go to. Nic go już nie zdumiewało. Zdumiewający fakt samowłączenia się uznał za coś oczywistego, jak najbardziej naturalnego i normalnego. Nie miał też najmniejszych wątpliwości, że transformacja dokonała się. Z odrażającej poczwarki wykuł się cudny motyl. Radio było tam, gdzie być powinno, w miejscu dla niego zarezerwowanym i uświęconym tradycją tyle długoletnią, co zamierzchłą, która ponownie odrodziła się na jego oczach i uszach. Nie wiadomo jednak dlaczego w jego domu. Nie wiadomo czy i w innych domach też. Tego nie sprawdzał. Tego nie chciał sprawdzać. A radio promieniało. Niczym jutrzeńka. Nie. Niczym słońce w zenicie. Było wreszcie tym, czym miało być. Kształtu już nie zmieniło, ani wielkości. Zmieniło materiały. Boki były wykonane z drewna pomalowanego na sino-zielono tanią farbą uroczo pękającą i łuszczącą się zgrabnie. Podobnie wierzch i spód.

Boki nieco wystawały zarówno u góry jak i na dole. Przód pokrywał sztuczny materiał o grubym splocie, który swą ordynarnością tworzył prosty, kratkowany wzór wzbogacony ciemniejszymi plamami niewiadomego pochodzenia – prawie jak jutowy worek, lecz zupełnie pozbawiony szlachetnej surowości. I tyle. Pełny minimalizm, lecz jakże inny. Pełny zniewalającego prostactwa i chamstwa. Ach! I jeszcze jeden detal: z boku ebonitowa gałka do regulowania głośności. Sięgnął do niej od razu i ściszył radio. Radio? Czy to jeszcze było radio czy już głośnik radiowęzła zwany też kołchoźnikiem? To, co się z niego wydobywało, było zadziwiająco adekwatne do wyglądu. Rzekłbyś: idealnie dopasowane. Najmniejszego zgrzytu estetycznego. Również jeśli chodzi o jakość dźwięku. To, co widziałeś, to słyszałeś. Słyszał niewiele. Ściszył radio ile się tylko dało i teraz dobywał się z niego charkot pulsujący poszarpanym rytmem, falujący, roztrzęsiony.

W pokoju na górze rżenie radia było słabo słyszalne, choć miał wrażenie, że to rżęzi jego ciało, że tak chrypi mu w głowie. Wziął ołówek, trochę kartek i zaczął rysować trzy sześciany. Z początku po to, by uspokoić głowę, by opanować rozwibrowane ciało. W miarę jak rysował nabierał przekonania, że to nie tylko sposób na zagłuszenie radia, lecz jedyna możliwość zdjęcia uroku. Niestety, warunkiem było wykonanie poprawnego rysunku. Stos kartek malał, zapełniał się kosz na śmieci, rysik w ołówku ścierał się w zatrważającym tempie, a trzy sześciany ciągle nie były ani równe co do wielkości, ani nanizane na jedną nitkę, ani dowolnie poprzeręcane. Nie miało znaczenia czy zaczynał od środkowego, górnego czy dolnego, zawsze któryś był większy od pozostałych, zbyt wydłużony, niedostatecznie skręcony, odchylony od osi, za ciężki lub za lekki... W końcu znużony położył się spać.

Spał twardo. Dopiero nad ranem przyśnił mu się dawny pokój, w którym mieszkał będąc dzieckiem. Kamienica stała przy głównej ulicy miasta, a okna jego pokoju wychodziły właśnie na nią. Nazajutrz ulicą miał przemaszerować pierwszomajowy pochód, co było wówczas wielką atrakcją i koledzy zazdrościli mu, bo mógł go obserwować z góry i nie wychodząc z domu. Nie wiedzieli jednak, że w ten wolny dzień nie mógł spać do woli tak jak oni, gdyż z samego rana, znacznie wcześniej niż

normalnie wstawał, by pójść do szkoły, zaczynał ryczeć wielki głośnik, kilkumetrowy, metalowy, pionowy cylinder na jednej nodze, ustawiony na chodniku tuż pod jego oknem. Huk pieśni patriotyczno-rewolucyjno-wyzwoleńczo-robotniczych wdzierał się przez ceglane mury i podwójne szyby. Przed wyciem i charczeniem solistów, chórów i orkiestr nie chroniło najgłębsze nawet zanurkowanie pod kołdrę. Mimo to sen był przyjemny, przenosił go przecież w krainę dzieciństwa, a ta widziana z tak daleka, prawie z drugiego krańca, zawsze wydawała się piękna. Jednak w pewnym momencie natężenie pieśni stało się nie do wytrzymania. Głowa mu pękła i obudził się. Radio w kuchni grało na całego. Szalało. Zanościło się wyklętym chichotem. Rzucił się do niego i zaczął kręcić gałką na bocznej ściance, ale potencjometr przestał działać. Generował jedynie ordynarny rechot. Chciał wyciągnąć z gniazdka kabel, by uciszyć radio raz na zawsze, ale okazało się, że kabla nie ma. Skąd zatem czerpało energię? Ze słońca? Wskazywałby na to fakt, że zaczęło ryczeć o świcie. A nie ryczało w nocy? Sen deformuje czas, przestawia godziny i pory. Więc jeśli ryczało w nocy, to czy czerpało energię z księżycy i z gwiazd? Oszołomienie pozwoliło mu zjeść śniadanie, bo przytępione zmysły chroniły niczym skorupa. Wszak do czasu. Potem nie pozostawało już nic innego do zrobienia, jak pójść do szopy po łom i siekiere.

Walczył cały dzień. Dzielnie. Najdzielniej. Z pełnym oddaniem. Z poświęceniem. Toczył bój na śmierć i życie. Aż opadł z sił. Wyszedł z domu w poczuciu pełnej klęski, aczkolwiek nie po to, by skończyć pozbawiony wszelkiej nadziei. Zanurzył się w całkowicie ciemnym ogródku. Rzęzenie oddalało się i cichło. Nie świecił księżyc. Nie świeciły gwiazdy. Nie potrafił ocenić czy dlatego, że niebo przykrywały grube chmury, czy też radio wysysało z nich całą energię. Noc miała kolor fortepianu. Połyskiwała liśćmi świecącymi swoim własnym, wewnętrznym światłem, jakże nieśmiałym. Równie nieśmiało lśniły jego ręce. To musiało wystarczyć. Być może tylko w takim nikłym świetle dałoby się odnaleźć w chłodnych ciemnościach trzy czarne sześciiany, jednakowe co do wielkości, wiszące swobodnie jeden pod drugim, szczipione wierzchołkami, delikatnie poruszane pozbawionym tchu wiatrem.

*maj 2020*

